

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.

Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.

1/2 " — 40 "

1/4 " — 20 "

1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Wróble i armaty.

Kiedy przed paru tygodniami „Dziennik Wileński” wystąpił z sensacyjną rewelacją o przygotowywanych na Zielone Świątki masowych pielgrzymkach ludu litewskiego z za kordonu do Wilna i domagał się na tej podstawie wprowadzenia *stanu oblężenia w Kalwarij*, jasnym był cel tej notatki. Chodziło wyraźnie o wywarcie presji na administrację, by nie dopuściła wogóle do tradycyjnych pielgrzymek na Zielone Świątki ze względu na organizowane w tym terminie wszechpolskie zjazdy w Wilnie Sokołów, prawników, Dowborczyków i dziennikarzy. Zgromadzone tłumy pątników, oblegające mury Katedry ze swą mową białoruską i śpiewami litewskimi, stanowiły by zbyt jaskrawy kontrast z „narodowym” wyglądem „odwiecznie polskiego” miasta i nie jednemu z przyjezdnych z zachodnich krańców Rzplitej mogłyby dać dużo do myślenia co do charakteru widzianego po raz pierwszy kraju i jego stołecznego grodu. Że takie były intencje autorów tej fantastycznej informacji, potwierdza to wizyta poważnego przedstawiciela społeczeństwa polskiego u biskupa wileńskiego, mająca na celu namówienie biskupa do wydania orędzia, odwołującego tegoroczne pielgrzymki litewskie, a to dla uniknięcia ekscesów ze strony *krewkiej* młodzieży polskiej...

Nie przypuszczała jednakże zapewne redakcja „Dziennika Wileńskiego”, że z tego manewru lokalnego urośnie afera o charakterze międzynarodowym. W ślady bowiem „Dziennika Wileńskiego” podążyło niebawem „Słowo”, które wprawdzie nazajutrz oświadczyło, że wiadomości „Dziennika Wil.” są przesadzone i niewiarogodne, ale w parę dni potem prześcignęło pierwotne źródło w pogoni za sensacją i zaczęło w każdym numerze podawać szczegóły coraz bardziej alarmujące, coraz mniej prawdopodobne. Za

pismami wileńskimi nie pozostała w tyle i prasa warszawska, wśród której na czoło się wybił „Kurjer Poranny”, wykazując pomysłowość iście amerykańską.

Na kilka dni przed Zielonemi Świątkami brukowiec warszawski zamieścił obszerny opis przygotowań litewskich do zapowiedzianej pielgrzymki, z którego warto przytoczyć celniejsze ustępy, jako próbkę zupełnego już bezwstydu dziennikarskiego.

Czytamy więc w № 151 z d. 3 b. m., że „wyznaczony termin owej bandyckiej pielgrzymki religijnej do Ostrej Bramy, bynajmniej nie został przesunięty. Owszem czynione są w dalszym ciągu gorączkowe przygotowania do zbrojnego napadu na Polskę w Zielone Świątki. Akcja zaś werbunkowa z terenów litewskich, sąsiadujących z powiatem wileńskim przesunięta została i w kierunku południowym granicy ku Suwalszczyźnie. Tak więc Litwini za jednym zamachem zamierzają zagarnąć na podobieństwo Kłajpedy ziemię wileńską i suwalską”...

A dalej: „Działalność polityczna rządu uzgodniona została równocześnie z litewskim sztabem generalnym w porozumieniu oczywiście z Berlinem i Moskwą. Orany wyznaczone zostały jako główny punkt zborny sił powstańczych litewskich na froncie południowym. Miejscowości dookoła Merezca obsadzone zostały przez gotowe do bojowych wystąpień oddziały powstańców i zakapturzonych pielgrzymów, uzbrojonych w granaty ręczne i karabiny”...

I jeszcze dalej: „Aby równocześnie wzmocnić element bandyckich band litewskich, władze rządowe litewskie wydały polecenie przeprowadzenia agitacji wśród więźniów i zbrodniarzy na rzecz zapisywania się do oddziałów litewskich, mających ruszyć na Wileńszczyznę i Suwalszczyznę... Z takimi to „pielgrzymkami”, prowadzonymi pod znakiem krzyża oraz monstrancją pod baldachimem spotkają się nasze straże graniczne na dzień Zielonych Świątek”...

I t. p., i t. p., i t. p.

Alarmy te via Warszawa, przedostały się oczywiście do prasy zagranicznej i Europa zaniepokoiła się widokiem bliskiej walki krwawej na granicy polsko-litewskiej, która jak iskra padająca na materiały wybuchowe, mogła wywołać groźny pożar na Wschodzie, a stamtąd przetrzucić się i na Zachód.

Uporczywa kampanja prasowa nie pozostała bez wpływu i na rząd polski, który biorąc zapewne na serjo wszystkie te brednie dziennikarskie, wystosował do Watykanu notę z wyrażeniem gotowości uregulowania sprawy tradycyjnych pobożnych pielgrzymek ludności katolickiej na Litwie w drodze bezpośrednich rokowań z rządem litewskim...

Nie wiemy czy i co odpowiedział na tę pośrednią propozycję rząd kowieński, nie zdziwiłoby nas jednak, gdyby odpowiedź utrzymana była w tonie mocno ironicznym, wyrażając zdumienie, że rząd polski traktuje poważnie plotki dziennikarskie.

Zbyt bowiem niedaleko jest od nas kordon graniczny, by zebranie informacji o tem, co się dzieje po tamtej stronie stanowiło nieprzewycięzoną trudność. Ten i ów przedostaje się przecie przez granicę, dochodzą nas, chociaż nieregularnie i z opóźnieniem, również gazety z Kowna. Wszystkie zaś źródła wiarogodne zgodnie utrzymują, że cała ta historia z pielgrzymami, złożonemi z przebranych i uzbrojonych szaulisów, jest zwykłym humbugiem dziennikarskim, obliczonym na łatwowierność czytelników i... polityków warszawskich. Być może ktoś gdzieś rzucił myśl podobną, być może nawet, że projekt temu i owemu trafił do przekonania, ale ani agitacji na większą skalę nie było, ani tembardziej przygotowań, ani poparcia ze strony czynników miarodajnych zarówno kościelnych, jak świeckich.

Rzecz najzabawniejsza, że „Dziennik Wileński”, który pierwszy puścił tę fantastyczną pogłoskę, ostat-

nio sam zaczął ją dementować i wycofywać się ze zbyt zaangażowanej pozycji, być może spostrzegłszy, że sprawa nabrała niepotrzebnego rozgłosu i naraziła rząd polski na kompromitację.

Cel zamierzony jednakże został dopięty. Czy to wskutek zabiegów administracji, czy ostrożności duchowieństwa, czy obaw ludności — napływ w tym roku do Wilna pątników z prowincji o wiele był mniejszy, niż zwykle. Uroczystości wszechpolskich nie zamącił żaden dysonans „tutejszy”. A o to właśnie chodziło.

Przysłowie rosyjskie powiada wszakże, że nie strzela się do wróbla z armat...

Protest.

Jako komentarz uzupełniający do uwag powyższych może służyć następujący protest T. Komitetu Litewskiego, zamieszczony w № 68 „Lietuvos Rytai” z d. 7 b m., który podajemy w dosłownym przekładzie.

Dnia 7 czerwca r. b. ubiega 20 lat od chwili zniesienia zakazu druków litewskich. Walka o to trwała lat 40. Ów okres naszego ruchu narodowego jest bezprzykładny w dziejach ludzkości i jest dla narodu drogim i szacownym. Naród, uciskany srode przez rząd carski w ciągu lat 40, potrafił potajemnie szerzyć oświatę i uświadomienie narodowe. Ten drogi jubileusz narodowy obchodzi cały naród litewski. Chciało go święcić i wileńskie społeczeństwo litewskie i obralo na cel ten Zielone Świątki. Miało się na uwadze, iż działacze narodowi są podczas tych świąt mniej zajęci i łatwiej potrafią się zgromadzić na uroczystość. Korzystając z tej sposobności nauczyciele ludowi zamierzali w dzień Zielonych Świątek urządzać w Wilnie swój doroczny zjazd, pątnicy zaś — odwiedzić Kalwarję i Ostrą Bramę.

HEL. ROM.

Śnił sen...

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz naturalnie, zwykłym porządkiem rzeczy, przyjeżdżali goście, był wesoły gwar i zjadano ile się tylko dało z tych prac, by nazajutrz robić to samo. Owej wiosny, jednym z popychadeł w kuchni, stał się niemrawy wyrostek, „panieński syn” zameżnej Jadwigi Kozłowskiej, cierpiący jako tako przez ojczyma, nielubiany przez matkę, trochę jąkała, trochę krzywy, „wiadomo, bez porządku dziecko urodzone”. Nikt go nie dręczył i nikt nie dbał o niego, ta półświadoma swego człowieczeństwa duszyczka nie odczuwała ani krzywdy, ani życzliwości. Chodził sobie latem za krowiami ogonami, senny i rozmarzony wonnem powietrzem łąk, z trudem wiążąc w jakiś senś, czy porządek logiczny, tych trochę myśli, które się przesuwają po jego mózgu, jak topniejące chmurki po niebie. Na ludzi wybałuszał siwe oczy z pod nigdy nieczesanej płowej czupryny,

i uzyskał sobie miano „rozdziawiaki” za nieustannie leniwie półotwartą, różową gębule. Z przyczyn bliżej niezbadanych, matka dała mu niezwykle imię Klau-djusz, a to miano dumnych cesarów, narzucone białoruskiemu pacholeciu, zostało przystosowane do codziennego użytku autochtonów w brzmieniu *Kławdzia*. Stan posiadania Kławdzia, redukował się do dwóch koszul i jednej pary nogawic, oraz burnusika z samodziału i czapki futrzanej, spadającej do pół twarzy, wskutek czego Kławdzia stale zadzierał głowę i robił wrażenie liczącego w biały dzień gwiazdy. O ile nie nosił łapci własnej roboty, to wkładał z dumką resztki matczynych butów i wydzwigiwał je z wielkim trudem z błota. Całego kawałka nikt na nim nigdy nie widział, miał też talent wyglądania brudno i „zasmarkano” nawet nazajutrz po łaźni, gdzie mu przecie nie żałowano winnika z brzożowych prętów.

Otóż owych świąt, Kławdzia został dopuszczony do kuchni w celu użycia go do najpodrzedniejszych funkcji oczywiście. Jednakże kto wie?.. Gdyby był okazał jakie wybitne zdolności, kto wie jak wysoko by go los zawiódł? Ale on nieboże, nie odczuł uśmiechu fortuny i zaraz na początku swej kariery, skompromitował się doszczętnie, wycierając nos

Wileńskie litewskie organizacje kulturalne, zbiegające się na tę uroczystość, miały na widoku cele narodowe i kulturalne, sądząc zaś, że święto narodowe tego rodzaju, jak obchód rocznicy odzyskania wolności prasy nie może podlegać w Europie, a przytem w demokratycznym XX wieku, ograniczeniom ze strony władz, nie ukrywały się z zamiarem obchodu święta i z góry ogłosiły go w prasie, zapraszając do uczestnictwa w nim społeczeństwo.

Szowiniści polscy dowiedziawszy się o tem, wszczęli w swej prasie alarm i jeśli podburzać społeczeństwo polskie przeciwko Litwinom. Zaczęto rozprowadzać wieści, iż państwo litewskie szykuje procesje do Wilna, w dzień Zielonych Świątek, w celach politycznych i agresywnych, iż Litwini wileńscy porozumieli się z organizacjami republiki Litewskiej i z miejscowymi komunistami, którym pomogli przetransportować jakąś tam drukarnię z Berlina („Dzien. Wil.” № 114). Bez żadnej podstawy przypisano zjazdowi nauczycieli litewskich cele polityczne, zaś wyraźnie bandyckie napady pograniczne jęto przypisywać Litwinom; pewne czasopismo warszawskie („Kurjer Poranny” № 138), pragnąc oczywiście jeszcze bardziej oczernić Litwinów i podburzyć swe społeczeństwo przeciwko nim, przekreśliło nawet informację urzędowej agencji polskiej i dużemi literami ogłosiło na miejscu naczelnem, że miasteczko Krzywicze, leżące daleko od terytorjum Litwy i znajdujące się na pograniczu republiki sowieckiej, napadnięte zostało i ograbione przez Litwinów. Po takiej ofenzywie prasy polskiej zakazano obchodzić jubileusz odzyskania swobody naszej prasy. Zabroniono naszemu działaczowi narodowemu i staremu bojownikowi o słowo drukowane dr. J. Basanowiczowi wygłosić odpowiedni odczyt w dzień jubileuszowy, zabroniono przedstawienia ze śpiewami w dzień uroczystości; zabroniono dorocznego zjazdu nauczycielom, krążyć zaś pogłoski, iż jakieś indywidua czynią wstępy pątnikom litewskim, pragnącym zwiedzić Kalwarję w dzień Zielonych Św.

Zważywszy na to wszystko: z jednej strony niedopuszczalną naganę społeczeństwa polskiego (przez prasę polską) przeciwko Litwinom; z drugiej zaś —

pogwałcenie elementarnych praw litewskich zarówno kulturalnych, jak też narodowych, Tymczasowy Wileński Komitet Litewski w imieniu Litwinów Wileńszczyzny przeciwko temu wszystkiemu niniejszem zakłada protest.

Tymczasowy Wileński Komitet Litewski.

Wilno, 6 czerwca 1924 r.

Uwagi polityka realnego.

Kiedy w roku ubiegłym zawiązał do Wilna p. Konstanty Srokowski w nieurzędowej misji z ramienia ówczesnego prezesa ministrów gen. Sikorskiego dla zapoznania się z kwestją białoruską, wyraziliśmy powątpiewanie, czy owa misja przyniesie konkretne rezultaty wobec tego, że p. delegat zbyt powierzchownie potraktował swe zadanie, pomijając cały szereg źródeł, skąd mógł zaczerpnąć obfitego materiału informacyjnego.

Przewidywania nasze sprawdziły się o tyle, że istotnie praca p. Srokowskiego poszła na marne, gdyż memoriał, złożony przezeń gen. Sikorskiemu na kilka dni przed jego ustąpieniem ze stanowiska prezesa Rady Ministrów, nie został zużytkowany i spoczywa, zdaje się, spokojnie w archiwach ministerjalnych. Natomiast słuszność nakazuje wyznać, że informacje zebrane przez p. Srokowskiego odznaczają się wysokim obiektywizmem, dokładnością i dają względnie pełny obraz stosunków narodowościowych, jakie polska polityka rządowa na t. zw. Ziemiach Wschodnich zastała i jakie ona sama tu ze swej strony wytwarza.

Co prawda, jak widać z broszury p. Srokowskiego, będącej częściową publikacją owego nieużytkowanego memoriału, autor znacznie bliżej zapoznał z Wołyniem i województwami Nowogrodzkim i Poleskiem niż z Wileńszczyzną.

Broszura ta niewielką rozmiarem p. t. „Sprawa narodowościowa na Kresach Wschodnich”, omawia

w palce, opodal stolnicy z podsychającymi plackami. Tak haniebna obrzydliwość, której doniosłości nie odczuwał wcale, wywołała oburzenie obecnych i kucharz obwieścił całemu światu, że „*taka badość ani minuty dłużej tu nie zostanie*”. Ochmistrzyń użalała się, opowiadając że chłopiec „rozpuszny i ze wszystkim rozpuszczony, wiadomo, taki z pod płotu, nie godny przebywać w kuchni pańskiej”. W rezultacie, Kławdzia zasiadł na schodkach od ogrodu z miną nie tyle Adama wyganego z raju, co biednego psiaka, odpędzonego od misy, ale że mu z litości dano pół śledzia i kawałek pańskiego chleba, pocieszył się na razie i w towarzystwie kundli podwórzowych pojadał sobie, pociągając nosem, łechtany zapachami niezwykle smakowitości. Widziane rzeczy marzyły mu się trochę nieprawdopodobnie i mieszały ze wspomnieniami jakich kiedyś chrzcin, na których po spoili, aż wyprawiał dziwne brewerje i spał potem jak kamień.

Wieczorem dnia następnego o godzinie dziesiątej cały dwór hrynkiński pogrążył się w ciężkim śnie, po dwunastogodzinnem objadaniu się prawie bez przerwy. Jedli wszyscy, w każdym domu, ile tylko mogli i więcej jeszcze...

Literalnie spali pokotem jak zarżnięci, zmordowani postem, pracą, nabożeństwem, jedzeniem i pićciem; spali domowi i goście, młodzi i starzy spały nawet okarmione wyjątkowo obficie psy. Dwa złe ogary, nocne stróże, mieszańce newfundlandów z leonbergerami, olbrzymie bestje, zdolne zagryźć wilka i zatrzymujące parę koni wrzaskiem, postrach całej okolicy, Tur i Frika, czarne, z białoburemi kamizelkami psiska, człapały tu i owdzie z obowiązku, ciężko kłusując przez krzaki i klomby, koło węglów domu i nasłuchując, czy jaki obcy pies nie wkracza w ich państwo.

W młym półmroku ukazującego się wśród chmur księżycy, pomiędzy wielkimi cichemi budynkami, sunęła drobna postać, z trudnością dźwigająca na sobie ogromny kozuch i buciska siedmiomilowe. W tej skorupie, kołatała się jak wyschły orzeszek w zbyt dużej łupinie, figurka Kławdzi. Na tym głupim bąku spoczywało całe bezpieczeństwo dworu... No, Tur i Frika też się liczyły. Nie robiły chłopcu nic złego i były mu jedyną otuchą w tę, surowym chłodem ziejącą noc wiosenną, bowiem był z niemi w odwiecznej przyjaźni, karmił je resztkami, zbierającymi gdzie się dało i często grzał bosc nogi w ich

trzy kwestje: sprawę białoruską, sprawę ukraińską na Wołyniu oraz zagadnienie wyznaniowe na Kresach, jakoteż daje ich syntezę w czwartym rozdziale, zawierającym „konkluzje i wnioski”.

Te ostatnie największe budzą w nas zainteresowanie, gdyż materiał faktyczny jest nam aż nadto dobrze znany. A są one niezmiernie charakterystyczne.

„Z przedstawionego stanu faktycznego — pisze p. Srokowski — wynika jasno, że na przestrzeni czterech województw kresowych, które zostały tu pod względem stosunków narodowościowo-wyznaniowych, społecznych i szkolnych opisane, rząd polski nie ustalił dotychczas żadnego widocznego i tłumaczącego się w jakikolwiek logiczny sposób systemu polityczno-administracyjnego. Ujawnia się to najwyraźniej w dziedzinie szkolnictwa. Gdy w województwie Wileńskim (*sic!*) istnieje 36 szkół białoruskich powszechnych i cztery gimnazja^{*)}, to w sąsiednim wojew. Nowogrodzkim, wykazującym wyższy procent ludności białoruskiej, gimnazjów prywatnych jest dwa, natomiast szkoła ludowa białoruska tylko — jedna. Wreszcie w województwie Poleskim nie istnieje żadna wogóle szkoła białoruska.

„Jeżeli więc idzie o tendencję ogólnopolityczną, to jest ona wyraźnie polonizacyjną, wprowadzaną w życie w dwóch województwach z bezwzględnością całkowitą, w jednym z pewnym wahaniem. Jednakowoż realizowanie tej tendencji nie wykazuje żadnego systemu logicznie rozwiniętego i przez wszystkie organy wszystkich działów administracji państwowej przyjętego jako miarodajny”.

Stwierdziwszy następnie, że istnieją dwa systemy traktowania zagadnień narodowościowych: *liberalny* i *unifikacyjny*, autor czyni następną głęboką uwagę:

„Przy stosowaniu obu rodzajów metod działać musi prawo kompensaty. I tak, gdy przy metodzie unifikacyjnej szuka się i daje narodowościom tę kompensatę na polu np. ekonomicznym, to na odwrót

*) Dane pochodzą z kwietnia 1923 r.

puszystych kudłach, siadając sobie w wietrzne wieczory, one koło swych bud, on opodał na klódeczce drzewa na trzaśniku, gdzie wyszukiwał sęków i gałęzi do strugania. I teraz, baraszkując, nadlatywały ku niemu z głębin ciemnego ogrodu, głucho warcząc, przelewającym się w gardle głosem, ciężkimi susami, aż ziemia jęczała, dopadając Kławdzi, przewracały go prawie, szturchały mokremi, zięjącymi śliną i mokrą ziemią pyskami, tarnosiły życzliwie za kozuch i po tem, jakby zameldowaniu, że nic się nie dzieje i on może być spokojny, rzucały się znów w przestrzeń z warkotem, szalejąc z uzyskanej na nocne godziny wolności.

Gdyby nie *psiuki*, nigdy by Kławdzia nie przyjął propozycji Purłana, jednookiego stróża, tak zaróśniętego kudłami, jak stary niedźwiedź i równie burkliwego; przytem ziewającego stale z niewyspania paszczą o czarnych od machorki zębiskach. Kławdzia bał się go narówni z bepośrednim swym władcą, pastuchem Wojcikjanem, chłopem wysokim, chudym i zamysłonym, małymównym i podejrzwanym o to, że „*cości zna*”, gdyż umiał zamawiać choroby bydłęce, a nawet wściekliznę i ukąszenie gadu wszelakiego. Gdy więc w on dzień, na przedwieczeru,

przy metodzie liberalnej ustępstwa polityczne równoważy się zwykle ograniczeniami w życiu gospodarczym... Takiego jednak wypadku, aby wobec jakiejś narodowości stosować metodę unifikacyjną, ignorując równocześnie jej potrzeby ekonomiczne, a nawet celowo upośledzając ją gospodarczo, nowe dzieje nie znają.

„Coś bowiem ludzie od państwa muszą dostawać, jeżeli ma ono zachować dla nich już nie jakąś wartość, ale jeżeli ma być wogóle stanem możliwym do zniesienia. Więc jeżeli nie dostają dóbr idealnych, to muszą dostawać materialne. Jeżeli zaś dostawa dóbr materialnych jest dostatecznie obfita, to wtedy można do pewnego stopnia i przez pewien czas ograniczać ludzi w używaniu dóbr idealnych. Wprawdzie i ta metoda ma te niewygodne konsekwencje, że narody, nasycone dobrami idealnymi, zaczynają potem z wielką energią domagać się należynej im części materialnych i naodwrot, zadowolone materialnie, tem natarczywiej i skuteczniej egzekwują swoje prawa idealne, to jednak są to konsekwencje leżące w samej naturze rzeczy, których nikt dotąd nigdy jeszcze nie zdołał trwale odwrócić. Można tylko środkami państwa wpływać na tempo ich rozwoju, więc opóźniać je lub przyspieszać, lecz nie można kusić się o ich całkowite unicestwienie, są to bowiem wszystko procesy naturalne, w istocie swojej silniejsze, niż jednostki lub całe zbiorowości.

„Na podstawie przedstawionego stanu rzeczy myślący czytelnik sam przyjdzie do wniosku, że dotychczasowa polska polityka oficjalna na Kresach Wschodnich nie trzyma się żadnej z opisanych wyżej metod, nie uwzględnia prawa kompensaty w żadnym kierunku, lecz usiłuje stworzyć nowy typ polityki narodowościowej, polegającej na zasadzie unifikacji i ucisku narodowościowego bez stosowania jakichkolwiek kompensat w zakresie dóbr materialnych. *Mniejszości słowiańskie na Kresach są uciskane narodowościowo i wyniszczane gospodarczo.* Oto ostateczny wniosek. Nad konsekwencjami tego faktu rozwodzić się nie warto. Wśród ludzi bowiem umysłowo normalnych, nie może być chyba dyskusji o nieuchronnych skutkach metody eksterminacyjnej

przystąpił doń ów dygnitarz, nocny stróż całego dworu, i zaproponował 10 kopiejek srebrem za pilnowanie *troszeczkę*, nim on z kompanją skończy jeść kolację, Kławdzia nie oponował; wlaźł w kozuch i w buty jak mucha w beczkę i w pocie czoła zaczął się wałęsać po cichym, uśpionym dworze. Rychło zmiarkował, że na zmianę warty nie trzeba liczyć, bowiem ani się mógł dostukać do zamkniętych drzwi i okna *stancji* Purłanów. Po libacji i posiłku, można ich było żywcem połknąć i nawet by nie poczuli. Małec więc filozoficznie przyjął na swe kilkunastoletnie barki ciężar dygnitarski i obowiązki, z których sobie zdawał sprawę. Wiedział, że trzeba chodzić po dworze, a jak się bardzo spać zechce, to można zasnąć na ganku oficyny, na schodkach od kuchni, albo na pomoście gumna, gdzie zawsze leżała przygotowana na ten cel wiązeczka pachnącego siana. Jakoś taka była niepojęta umowa między stróżem, a Panem Bogiem, że właśnie nic się wtedy stać nie mogło. Zresztą były to czasy przedwojenne i wtedy się wogóle nic nie działo.

i unifikacyjnej w polityce narodowościowej po tych wszystkich doświadczeniach, jakie z takimi właśnie metodami poczyniły Prusy, Rosja i Węgry.

„Dla tych zaś, którzy wierzą, że nacjonalizm polski dokáže istotnie tego, na czym załamały się nacjonalizmy pruskie, rosyjski i węgierski, słowa te wogóle pisane nie są“.

Brawo!

K. W.

Monografia o biskupie Wołonczewskim. *)

Dawno odczuwała się potrzeba obszerniejszej pracy, poświęconej tej wybitnej postaci w dziejach naszego kraju w wieku XIX-ym. Doczekał się wreszcie obfity odnośny materiał, archiwalny i biblioteczny, chwili, gdy ręka historyka dotknęła go i dobyte na światło dzienne moc ciekawych szczegółów, dających możliwość napisania dokładnego życiorysu biskupa Żmudzkiego.

Dziela tego dokonał prof. historii kościelnej na uniwersytecie kowieńskim i ceniony historyk Litwy, ks. Ant. Olechno. Autor życiorysu biskupa Macieja Wołonczewskiego (1801 — 1875) jest jednak tak człowiekiem skromnym, że nie chciał swego studjum nazwać monografią, i pod tytułem umieścił tylko: *Paraše... jakby to było zwykłe sobie opowiadanie lub coś w tym rodzaju*. Tymczasem jest to studjum naukowe, oparte najściślej na badaniach, przeprowadzonych w archiwum biskupstwa Żmudzkiego i udostępnionej dopiero teraz kancelarii gubernatora kowieńskiego.

Wśród czterdziestu biskupów, którzy od przyjęcia chrześcijaństwa przez Żmudź, sprawowali w niej urząd pasterski, a w liczbie których jest mąż tej miary, co książę Melchjor Giedrojć, biskup Wołonczewski zajmuje miejsce poczesne, przytem sprawuje on rzędy biskupie przez ćwierć wieku, w czasach najbardziej ciężkich dla Kościoła i Litwy, — przed i po powstaniu styczniowym. Dotychczas kilkakrotnie próbowano nakreślić życiorys wybitnego biskupa, lecz istniejące opisy nie mogły pretendować do pełności. Nie były one pisane źródłowo i dawały tylko fragmentaryczną znajomość postaci, jak ks. H. Raczkowski (*Przeгляд Katolicki*, r. 1875), I. Szliupasa (Tylża), *senis Lietuwis'a (Auszra)*, ks. Al. Dąbrowskiego (Petersburg).

Bezpośredniemi źródłami do biografii biskupa Wołonczewskiego są jego własne rękopisy, jak *Wiadomości o czynnościach pasterskich* (w zbiorach Litewskiego naukowego Towarzystwa w Wilnie), *Kronika, Pamiętnik domowy, Rozmaite wiadomości zebrane...* Ks. Olechno pierwszy, nie poprzestając na materiale powyższym, sięgnął do archiwów diecezjalnego i gubernatorskiego w Kownie i dlatego jego publikacja ma już wartość monografii naukowej. Monografista miał też w ręku inne dzieła, które mogły badany przezeń okres czasu wyświetlić, np. *Wspomnienia z czasów, które przeżyłem* — X. T. Dobszewicza, *Uniwersytet Wileński* J. Bielińskiego, *Pamiętniki* Jakuba Gieysztorę, *Wileńskie ocerki* A. Mosołowa, *Bractwo trzeźwości na Litwie* M. Brensztejna i t. d.

Na samym wstępie swej pracy stwierdza ks. Olechno stosunkowo wysoki na początku XIX w. poziom kultury w ludzie żmudzki. Oprócz stosunkowo wtedy małej liczby analfabetów, o tem świadczy, że podówczas wydał on jednostkę tak bogato a wszechstronnie uzdolnioną, jak biskup Maciej, w którym olbrzymia energja i talenty organizacyjno-administracyjne przedziwnie się skojarzyły z bujnym rozwojem życia intelektualnego. Ta szczęśliwa kombinacja, jak poucza nas obserwacja życiowa, wcale nie jest częstą, raczej należy do wyjątków.

Matiejus Valanczius (tak właściwie brzmiało nazwisko późniejszego biskupa) niebawem po chrzcie świętym, otrzymał polską końcówkę do nazwiska. Ktoś bliski z jego otoczenia widocznie uległ temu niemądremu przesądowi, bo zapis w księdze metrycznej kościoła parafjalnego podaje nazwisko *Wołonczewski* wtedy, gdy kopja jego w konsystorzu biskupim ma, zgodnie z rzeczywistością, *Wałaczius* (p. 6). Bynajmniej ta zmiana nie oznaczała w życiu biskupa Wołonczewskiego jakiegoś symbolu, bo zawsze pozostał on wiernym synem ludu, który go wydał (*chłopotoman*, według prof. Brucknera).

Wilno odegrało w życiu młodego Wołonczewskiego rolę niemałą. Rozpoczęte w seminarjum worniańskim studia teologiczne, Wołonczewski w r. 1824 prowadzi dalej w Głównym Seminarjum w Wilnie, gdzie po przesłuchaniu na uniwersytecie czteroletniego kursu nauk, uzyskuje stopień kandydata teologii. W Katedrze wileńskiej 1 września 1828 r. otrzymuje on z rąk biskupa sufragana Tadeusza Kundzicza święcenia kapłańskie. Wkrótce potem ks. Wołonczewski opuszcza stolicę kraju, by na głuchej prowincji białoruskiej w Możyrzcu zostać katechetą tamecznej szkoły powiatowej do r. 1834, kiedy wraca na ojczystą Żmudź, na takżeż stanowisko w gimnazjum Krożańskim. Pracowity Żmudzin wciąż obcuje z książką i w r. 1836 zdobywa stopień magistra teologii. W r. 1840 senat akademii duchownej w Wilnie powołuje go na adjunkt-profesora, powierzając wykłady teologii pasterskiej i archeologii biblijnej, a w r. 1842 uzyskuje on doktorat. Lecz oto wybija ostatnia godzina dla akademii duchownej w Wilnie i uczelnia zmuszona jest przenieść się nad Nową do stolicy państwa, dokąd podąży i ciało profesorskie. Ciężka choroba w r. 1845 zmusza prof. Wołonczewskiego do opuszczenia katedry, powrotu znowu na Żmudź i objęcia tam stanowiska rektora seminarjum. W lat kilkanaście ujrzy go ponownie Wilno, gdy zmuszony będzie, jako biskup żmudzki, przybyć doń 6 września 1853 r., by wraz z innymi biskupami kraju powitać w Katedrze wileńskiej Aleksandra II. Na udzielonem tu posłuchaniu car dziękował biskupowi Wołonczewskiemu za gorliwe szerzenie na Żmudzi bractw trzeźwości. Bywał napewno i pozatem nasz biskup gościem Wilna, lecz już większej roli ono w życiu jego nie odegrało.

Całe życie biskupa Wołonczewskiego stwierdza niezbie, jak wyjątkowo szczęśliwą była prekonizacja jego na biskupa Żmudzkiego. Był to gorliwy pasterz ludu, niez mordowany bojownik, broniący z narażeniem własnym a niezwykłą mądrością dobra duszy i ciała swych diecezjan; doskonały, przezorny a doświadczony administrator; wielki pionier oświaty ludowej, nieustannie krzewiący oświatę litewską ludową; sprężysty organizator i twórca szeroko zakreślonego ruchu abstynenckiego; pracowity historyk dziejów Kościoła na Żmudzi i pisarz równie utalentowany,

*) *Kun. Antonas Alekna* — Żemajcziu Vyskupas Motiejus Valanczius. Klaipeda 1923. Str. 283 z portretem i facsimile.

jak znający psychologję ludu, do którego umiał przemówić słowem i piórem, jak nikt może dotąd. To jest najkrótsza, a wierna charakterystyka biskupa Macieja Wołonczewskiego. Odpowiednio do wysokiej w Kościele godności i równej jej wartości wewnętrznej szanowany był on tak w kościelnej *prowincoj Mohylewskiej* (przyjaźń metropolity Hołowińskiego), jak i przez przedstawicieli władzy świeckiej. Liczyli się też z nim więcej niż z innymi wielkorządcy kraju generał gubernatorowie wileńscy, od Bibikowa do Albedyńskiego, nie wyłączając nawet Murawjewa.

Acz szczerzy patriota litewski i gorący miłośnik odrodzenia narodowego, biskup Wołonczewski dla braku odpowiedniej literatury w języku litewskim, do czasu szerzył liczne dzieła i pisma polskie, wolne od tendencji szowinistycznych. Równoległe z tem zabiegał, by dać ludowi lekturę w języku macierzystym. W tym celu sam jął się pióra, czemu zawdzięczamy szereg cennych książek pisanych w narzeczu żmudzkiem, a będących upragnionym deszczem wśród ówczesnej posuchy na Litwie. Mając wśród diecezjan Łotyszów, dbały pasterz nie zapominał i o literaturze litewskiej.

Niezwykle drażliwą sytuacją dla biskupa Wołonczewskiego przyniósł rok klęski — 1863. Rząd wyrzucił biskupowi pobłażliwy stosunek do ówczesnych manifestacyj, dopatrywał się nawet propagandy polskiej. Niezawodnie biskup niechętny był dla rządu i wierzyć i ufać się mu nie mógł, dlatego uczuciowo chyba rozumiał rozpoczynające się powstanie polskie, atoli jako trzeźwy Żmudzian, nie stracił jasnego poglądu na to, że akcja powstańcza udać się nie może, ściągnie zaś tylko nieobliczalne na kraj i lud ciosy. *106 księży diecezji żmudzkiej padło ofiarą 1863r i musiało iść na wygnanie* na Sybir lub do innych oddalonych miejscowości cesarstwa rosyjskiego (pp. 156 — 163). Krzyżowały się tedy wpływy listów pasterskich z manifestami Rządu Narodowego, a po dworach krążył wierszowany pamflet, ułożony przez jakiegoś ówczesnego endeka:

„Rządzim Tobie, Maćku drogi,
Byś do Moskwy drapnął w nogi,
i zrobiwszy taką przyzę,
Włożył na się popią ryżę.
Bo to u nas z takim duchem
Powieszę na drzewie suchem.
Te odezwy, co pisałeś,
I proboszczom rozesałeś
Wiele Twej opinji psują
I z pasterstwa Cię rugują.
Czasu bardzo mało wcale,
Reparuj — że te skandale,
Bo inaczej — w górę winda!
I pan Maciej tam podynda.

Studjum ks. Olechny tyle przynosi nowego źródłowego materiału, że będzie wprost niezbędnem dla każdego, kto zechce odtąd monograficznie opisywać dzieje r. 1863 na Litwie i Żmudzi.

Bibliografja pism biskupa Wołonczewskiego, skrzętnie zestawiona przez naszego monografistę, wykazuje numerów 43 (trzy z nich po polsku napisane). Niektóre z nich wyszły w Wilnie u J. Zawadzkiego lub Marcinowskiego. Książeczki religijnej treści miały duży na tamte czasy odbył (45000, 40000... egzemplarzy). Naukową wartość ma z nich spolszczone przez M. Hryszkiewiczę: *Zemajtju Wiskupiste*. Działalność literacko-wydawnicza biskupa Wołonczewskiego rozpoczęła się w ostatniej chwili przed zamierzonym przez rząd carski narzuceniem narodowi litewskiemu abecadła rosyjskiego. Już właśnie tłoczył rząd *Ewangielios* czcionkami rosyjskimi, już chciał narzucić mowę rosyjską, lecz w biskupie napotkał

na opór równie mądry, jak stanowczy. Porównując sposoby walki z rządem biskupa Wołonczewskiego z metodami tejże walki stosowanymi gdzieindziej, widzimy że działa on zawsze bez efektacji, pozy... nie dopatrywać się w nim pozoru fanatyzmu... Tak walczył sam uniknął wygnania i co ważniejsze, zwyciężył na całej linii. Mowa rosyjska, mająca lud litewski powoli *praeparare od sacra aliena*, zatrzymała się przed progiem litewskiej *bażnyczą*, by odtąd już stopniowo się cofać...

Wszechstronnie wykształcony biskup był członkiem wielu instytucyj naukowych w kraju i poza nim. Jako miłośnik przeszłości i sztuk pięknych chciał wznieść w swej katedrze pomnik *Melchiori Duci Giedrojć Mednicensi Episcopo*. Tem się chyba tłumaczy że był rzeczywistym członkiem *Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych* w Warszawie.

W artykule niniejszym nie tknęliśmy wielu rysów wybitnego biskupa (np. dobroczynności, pracowitości...), ale i wymienione przez nas wystarczą, by ta postać w naszych oczach wyrosła na miarę wysoko wybijającą się ponad przeciętność. Biskupowi Maciejowi Wołonczewskiemu, jednemu z pierwszych, winna wznieść wolna Litwa godny pomnik.

W osnowę podziału swej monografji wziął ks. Olechno punkt widzenia rzeczowy. Nam się on wydaje niesłusznym. Podział materiału wedle czasu byłby tu lepszy: bardziej uwypukliłoby się historyczna postać biskupa i zyskałaby ciągłość naracji. Biskup Wołonczewski był przecie najprawdziwiej *integer vitae*. Nie zwrócił monografista uwagi jeszcze na dwie rzeczy. Tak miłość ludu i kleru do biskupa spowiła jego osobę girlandą legend, przypisując mu nieraz słowa, zarządzenia, czyny i t. d., których w rzeczywistości bardzo być może wcale nie było. Otóż należało ręką badacza tknąć tej patyny, co już legła na postaci biskupa. Po drugie, słów kilka warto było poświęcić humorowi i dowcipowi, cechom stale towarzyszącym i dopisującym Valancziusowi. Ożywiłoby, zbliżyło doń czytelnika. Poza tem opracowanie monografji znakomite. Błędów drukarskich, głównie w liczbach, znaleźliśmy zaledwie kilka. Papier niezły, druk czysty, portret udatny, spisy przejrzyste.

Po biskupie Wołonczewskim, prawo do monografji naukowej ma w historycznym piśmiennictwie litewskim biskup sejneński Antoni Baranowski (Baronas).

Piotr Kantryba.

Z mego notatnika.

Bajki i rzeczywistość.

Na powitanie uczestników czterech zjazdów' dzienniki wileńskie wystąpiły z pewną okazałością. Zwłaszcza „Dziennik wileński” na Zielone Świątki wydał numer o znacznie zwiększonej objętości i nader urozmaiconej treści, popisując się przed przyjezdnymi czytelnikami ze swą erudycją historyczną i mądrością polityczną, z którą publiczność wileńska zdążyła już się dokładnie zapoznać, a nawet spoufalić.

Czytelnik więc wileński, po raz niewiedzieć który, musiał przeczytać, — co dla gościa warszawskiego czy lwowskiego było niewątpliwie nowością, — że Wilno nigdy litewskiem nie było, że takie nazwy miejscowe, jak Werki, Ponary, Wierszuba, Wołokumpie, Snipiszki, Antokol są pochodzenia mazurskiego,

że jeszcze Mendog sprowadzał setkami tysięcy osadników z Polski, że całe mieszczaństwo po miastach dawnego W. Księstwa Litewskiego było importowane z Polski, ponieważ w Polsce miasta... zostały zalane przez żywoł niemiecki, że Białoruś i ruch białoruski istnieją jedynie w wyobraźni nieorientującego się w naszych stosunkach mieszkańca Galicji lub Wielkopolski, w rzeczywistości zaś stanowią fikcję, wymyśloną przez intrygę żydowsko-niemiecko-masońską, że cała ludność miejscowa z utęsknieniem oczekiwała rządów polskich i jeżeli obecnie panuje wśród niej niezadowolone i rozgoryczone, to winny temu rządy Osmołowskich i Abramowiczów, bo gdyby tu rządził Głabiński i Bańkowsy, to administracja odznaczała by się Katońską uczciwością i bezstronnością, podatki spadłyby do zera, jak w księstwie Monako, osadników wojskowych przyjmowano by z otwartymi rękami, sztucznie potworzone „mniejszości narodowe” tuliłyby się z czułością do łona swej macierzy polskiej, a bandyci, zamiast napadać na dwory i miasteczka tłumnie by wstępowali do szeregów Związku Ludowo-Narodowego.

I rozjechali się dziarscy Sokoli, ruchliwi reporterzy, wytrawni juryści, zawadzaczy Dowborczycy, roznosząc po wszystkich zakątkach Najjaśniejszej Rzeczpospolitej wieść radosną a niespodziewaną: kłamstwem jest wierutnem, co dotąd nam prawiono o jakiejś Litwie i Białorusi, o jakimś W. Ks. Litewskim, o jakimś grodzie Gedyminowym. Ani takiego kraju niema, ani takiego państwa nie było, ani takie miasto nie istniało i nie istnieje. Jest tylko województwo wileńskie, kraj rdzennie i odwiecznie polski i miasto wojewódzkie Wilno, założone niegdyś przez wychodźców mazurskich, jako reduta kresowa, przeznaczona do obrony serca Polski—Warszawy, zagarnięte tylko później przez Litwinów dzięki ich przy mierzu z Tatarami... A Gedymin jest to postać zgoła mityczna, coś w rodzaju Kraka i smoka Wawelskiego, o którym rozpisują się szeroko wyłącznie w celach agitacyjnych szowiniści kowieńscy, inspirowani przez Berlin i Moskwę.

Dzisiejsza młodzież.

Kiedy w jednym z pism wileńskich wyczytałem, że w jakimś dworze student Uniwersytetu im. Stefana Batorego, pełniący rolę gospodarza w tym domu, pobił nauczycielkę, która go pono zniecierpliwiała swymi nadmiernymi żądaniami, byłem pewny, że jest to albo oszczerstwo rzucone przez nieprzebiegającego w środkach osobnika, albo chorobliwy wymysł historyczki.

Po upływie jednak dłuższego czasu przeczytałem znów, że nad studentem oskarżonym o ten czyn nieprawdopodobny odbył się sąd koleżeński, że fakt pobicia został stwierdzony i że jego sprawca został skazany na usunięcie na przeciąg dwóch lat z życia koleżeńskiego, w skutek okoliczności łagodzących, a mianowicie *ciężkiego charakteru* poszkodowanej nauczycielki.

Do niedawna było wprost nie do pomyślenia, aby młodzieniec, student uniwersytetu, „spadkobierca tradycji filareckich” — jak się to często słyszy — wychowany w środowisku kulturalnem, ośmielił się podnieść rękę na kobietę, i to nie w jakimś szale zazdrości czy namiętności, lecz w skutek zniecierpliwienia czy irytacji. A gdyby podobny wypadek się zdarzył i doszedł do wiadomości publicznej, to taki brutal, otoczony powszechną pogardą, musiał by opuścić uniwersytet i szukać przytułku gdzieś dale-

ko, gdzieby wieść o jego haniebnym postępku nie dotarła.

Inne czasy — inne pieśni.

Dziś sąd koleżeński wynajduje okoliczności łagodzące — tak, jakby można było znaleźć jakiegokolwiek usprawiedliwienie dla tego rodzaju objawów dziczyny. Najbujniejsza wyobraźnia nie potrafi wymyślić takiej sytuacji, w której by *ciężki charakter nauczycielki* mógł popchnąć pana domu czy jego zastępcę do podniesienia ręki na bezbronną kobietę, zajmującą w dodatku w tym domu zależne stanowisko.

Bardzo jest pobłażliwą obecna młodzież i nader skromne ma wymagania w zakresie etyki i kultury.

Licz.

Wybory do Gmin Żydowskich.

W b. Kongresówce i Galicji obecnie wre walka wyborcza do Gmin Żydowskich. Walka ta rozgrywa się pomiędzy narodowym żydostwem z jednej strony a ortodoksją z drugiej strony.

Dotychczasowe wyniki wyborów są nader pouczające. Wykazują one, że narodowe żydostwo bagatelizowało sobie zanadto organizację ortodoksów na ziemiach polskich.

Co więcej zawartym sojuszem przy wyborach do Sejmu dopomogło potępianemu przez się wstępnictwu do bardziej sprężystego zorganizowania się i rozszerzenia swych wpływów. Ponadto jasnym się staje, że jeśli ortodoksja pójdzie samodzielnie do wyborów do przyszłego Sejmu, co jest bardzo prawdopodobnem, to niewątpliwie odegra ona poważną rolę w życiu politycznym.

Wprawdzie ortodoksja nie ma żadnej przyszłości. Bez przesady można stwierdzić, że młode pokolenie żydowskie jest całkowicie usposobione narodowo. Ale czynniki miarodajne, kierujące się jak dotychczas polityką „Von Fall zu Fall”, wyzyskują niewątpliwie ortodoksów przeciwko żydowskim ugrupowaniom narodowym. To też wyniki dotychczasowych wyborów do gmin żydowskich wywołały zrozumięte zaniepokojenie w narodowych kołach żydowskich, co głośnym echem odbija się w prasie żydowskiej wszystkich odcieni. Walka o charakter gmin żydowskich nie ominęła i Wileńszczyzny. Wprawdzie rząd widocznie zdając sobie sprawę z odrębnych warunków kraju, nie wyznaczył na razie wyborów do gmin żyd., ale mimo to walka pomiędzy narodowym żydostwem Wileńszczyzny, z postem Wygodzkim na czele, a ortodoksją już się rozpoczęła. Powodem posłużyła konferencja gmin żyd. z Wileńszczyzny, która kilka tygodni temu zwołaną została z inicjatywy postu Wygodzkiego.

Na konferencji tej przywódcy ortodoksów wileńskich, w osobach rabinów, nie mieli czelności wyraźnie przeciwstawić się woli większości miejscowego społeczeństwa żydowskiego, które zdecydowane jest wziąć udział w wyborach do gminy żyd. tylko w tym wypadku, jeśli ona będzie miała charakter narodowy, a nie tylko wyznaniowy. Jak jednak donosi miejscowa prasa żydowska, rabini wileńscy rozpoczęli pertraktacje w tej sprawie z leaderami ortodoksów warszawskich, starając się wszelkimi sposobami uniemożliwić dojście do skutku gminy narodowej na gruncie wileńskim.

Narodowe koła żydowskie żywią jednak nadzieję, że czynniki miarodajne uwzględniając swoiste warunki Wileńszczyzny zgodzą się na narodową gminę żydowską — dla dobra kraju i społeczności żydowskiej.
Miecz. Gold.

Bibliografia.

Józef Jodkowski. *Gimnazjum po-Dominikańskie w Grodnie.* Grodno MCMXXIV str. 37 z ilustr.

Józef Jodkowski, pracowity a zasłużony badacz dziejów rodzinnego Grodna, świeżo ogłosił drukiem krótką, lecz źródłową pracę, poświęconą przeszłości gimnazjum grodzieńskiego, które powołane do bytu i przez szereg lat utrzymywane było przez *Ordo Praedicatorum*. Gdyby nie okrutny zab czas, szczególnie niebezpieczny tam, gdzie sprzymierza się z nim karzące niedbalstwo inteligencji, można byłoby niezawodnie pełniej otworzyć dzieje gimnazjum dominikańskiego w Grodnie. Jednak niejedną już rzecz udało się Jodkowskiemu wyrwać z rąk niszczycieli, niejedną cenny dokument odwojować i ocalić dla przyszłości. Badając dzieje minione, nikt nie pracuje na próżno. Nawet rzeczy najślabsze lub tylko tendencyjne, jak studjum historyczne E. Orłowskiego o gimnazjum grodzieńskie, są nie bez wartości. Książeczka omawiana zawiera poza wstępem *Od autora*, pięć rozdziałów zaznajamiających nas kolejno ze *Szkołą Collegium Societatis Jesu, Szkołą wydziałową, (1775—1797), Szkołą powiatową (1797—1833) i Gimnazjum gubernjalnem (1834—1915).*

Przy czytaniu tej publikacji, nasunęły się nam pewne uwagi. Gustownej z deseniowego płótna okładki nie zeszpeciłaby po środku kartka z tytułem dzieła. Znowu na karcie tytułowej nie podano wcale, że oprócz tekstu są tu rzadkie a ciekawe ilustracje, częścią fotografje (klisze wykonał F. Zaniewski w Wilnie), częścią ilustracje siatkowe (odbite w drukarni J. Zawadzkiego). Warto je przytem ponumerować. Niepotrzebnym w tytule archaizmem jest pisanie roku bieżącego liczbami rzymskimi. Przecież to nie jakieś *Rozprawy Akademii Umiejętności*, tylko wydawnictwo nakładem Muzeum Państwowego w Grodnie...

Wstęp (opuszczono tu: *Od autora*) winien zaczynać mniej więcej od połowy stronicy, nie od góry. Nie godzimy się, by Orłowski i inni historycy rusyfikatory nie posiadali „większej (?) znajomości języka polskiego”. Szczególnie o Orłowskim powiedzieć tego nie można, co wcale nie przeszkadzało mu być gorliwym rusyfikatorem. Charakterystyczny szczegół z życia szkół grodzieńskich podaje Jodkowski, mówiąc, że w czasie sejmów zwoływanych często do Grodna, rozpuszczano zwykle szkoły, ponieważ klasztorzy gościły wtedy w swych murach duchowieństwo i senatorów. Sielankowe czasy!

Stylowy szczyt apteki Farnej w Grodnie został nie „znieskształcony przez b. dziekana grodzieńskiego ks. J. Ellerta”, lecz poprostu zbity do parteru *exclusively* i dziś po nim śladu najmniejszego. Zbyt wielką modernizacją jest nazwanie zasłużonego dla dziejów

oświaty w Grodnie ks. Ksawerego Bohusza... *sędzią pokoju*. Musiał on chyba nosić podówczas jakiś inny tytuł... Prawie głośownie twierdzi Jodkowski, że *dwie mozajki rzymskie* (dlaczego?) ze zbiorów gimnazjum grodzieńskiego „całkiem nie słusznie uważano za widoki Zamku Starego w Grodnie”. Wobec arcybałamutnej perspektywy najstarszych widoków Grodna, sprawa ta nie jest tak jasną i łatwą.

Obiema rękami podpisujemy się pod zdaniem Jodkowskiego, że Muzeum Państwowe w Grodnie winno odzyskać rychło wszystko, co należy do rubryki pamiętek grodzieńskich. Jest to punkt widzenia racjonalny i krajowy. Prostujemy dalej nazwę, jaką Jodkowski nadaje obrazowi M. B. Różańcowej ze skasowanego kościoła dominikańskiego, który najwyżej może być nazwany łaskami słynącym, nigdy zaś cudownym. To nie są przecie synonimy... Przypominamy tu Jodkowskiemu b. cenną publikację Wołyniaka: *Wiadomości o Dominikanach prowincji Litewskiej Cz. I.* (Kraków 1917). Pracę swą historyk grodzieński jakby urwał, bo o dziejach gimnazjum grodzieńskiego od r. 1873 do ewakuacji w r. 1915 nie wspomniał ani słowem, a mógł ten, co prawda najmniej ciekawy, okres systematycznej rusyfikacji streścić w kilku wierszach.

Pracy mniejszej odbito kilkaset numerowanych egzemplarzy. Jest to uzupełniona odbitka z grodzieńskiego *Nowego Życia*, pisemka skądinąd znanego ze swego szowinizmu i wulgarnego antysemityzmu. Mimo to, jako miłej pamiętce zjazdu koleżeńskiego b. wychowawców gimnazjum grodzieńskiego (23. IV r. b.) życzymy szerokiego w kraju naszym rozpowszechnienia.
Jadźwing.

Książki nadesłane do Redakcji.

Batorowicz Józef. *Liljowe śnieni.* Wilno 1924. Nakładem i drukiem Ludwika Chomińskiego.

Staniewicz Witold *Rzut oka na rozwój dziejów agrarnych na ziemiach litewskich.* Odbitka z „Ateneum Wileńskiego” № 5. Wilno 1924

Nowe Życie. Miesięcznik poświęcony nauce, literaturze i sztuce żydowskiej, pod redakcją dr. M. Bałabana. R. I Z. I. Czerwiec 1924. Skład główny księgarnia M. J. Freida Warszawa.

„Owent Kurjer“

CODZIENNE PISMO WIECZOROWE

Pismo ma charakter apolityczny i jest wyrazem szczerych dążeń demokratycznych. Poświęca szczególną uwagę życiu w Wileńszczyźnie. Posiada pierwszorzędną informację krajową i zagraniczną.

Redaktor: **Mieczysław Goldszajn.**

Wydawcy: **Bracla Rozental.**

Adres redakcji i administracji: ul. Rudnicka 7.

Treść numeru: Wróble i armaty. — Protest T. Komitetu Litewskiego. — K. W. Uwagi polityka realnego. — P. Kantryba. Monografia o biskupie Wołoncewskim. — Licz. Z mego notatnika. — M. Gold. Wybory do gmin żydowskich. — Bibliografia.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Ludwik Abramowicz.** Druk. „Lux“ Wilno, ul. Gen. Żeligowskiego № 1